

BESTIE

SEBASTIÀ ALZAMORA



WYJĄTKOWA GOTYCKA POWIEŚĆ O ZDERZENIU DWÓCH SIŁ: ZŁA I ŻYCIA

I

Memento mori

– *Ego te absolvo a peccatis tuis in nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti.* Odejdźcie w pokoju z Panem Naszym Jezusem Chrystusem, bracie.

Kłęczący na ziemi brat Plana podniósł głowę, chwycił rękami stulę, która zwisała z szyi brata Dardera, i próbował ją pocałować, ale udało mu się ją jedynie zaślinić. Brat Darder skinął ręką ze zniecierpliwieniem.

– Bardzo was proszę, wstańcie już i odejdźcie – burknął.

Brat Plana posłusznie oddalił się, powłócząc nogami i mrucząc słowa podziękowania. Chuderlawy, w niedopasowanym ubraniu, z małą głową, zgarbionymi plecami i zbyt wielkim brzuchem, kilkoma włosami na krzyż zjeżonymi na czaszce i z na wpół bezzębnymi ustami niezwykle przypominał szczura, szczurka z wielkim pakunkiem na grzbiecie, co wywoływało u brata Dardera niekontrolowane odruchy obrzydzenia, kiedy znajdował się w jego obecności, a szczególnie kiedy prosił go on o wysłuchanie w konfesjonale. Przy tym lista grzechów brata Plany była zawsze taka sama, brat

Darder, który słuchał jej już nieskończenie wiele razy, mógłby więc wyrecytować ją z pamięci. Zaczynała się od ciągu grzechów lekkich, popełnianych myślą i przez zaniechanie przeciw Matce Bożej lub jednemu ze świętych. Brat Plana recytował je szybko, mamrocząc niemal niezrozumiale, po czym zdenerwowany przechodził do grzechów ciężkich, obejmujących prawie zawsze wypadki do spiżarni, by porwać trochę cukru albo kilka główek czosnku, które później, gdy nikt go nie mógł zobaczyć, pożerał w samotności. Obraz brata Plany węszącego po spiżarni pensjonatu albo ogryzającego w ukryciu i po ciemku czosnek mieszał się bratu Dardero wi ze wspomnieniem grubych i odpychających myszy, które jako dziecko widywał w spichrzu ojca, a to sprawiało, że rosła w nim odraza i pragnął zakończyć spowiedź najszybciej, jak to było możliwe. Nakładał na brata Planę za jego grzechy pozbawione znaczenia rutynową pokutę i powstrzymywał odruch nakazujący mu zdjęć z szyi stułę, zanim człowieczek zdąży ją chwycić i przesunąć po ohydnych wargach z przesadną nabożnością, którą można by wziąć za łakomstwo.

Z drugiej strony kimże jestem – zapytywał sam siebie brat Darder, podczas gdy za bratem Planą zamykały się przeżarte przez wilgoć i korniki drzwi pokoju, a on wstawał z krzesła i teraz już spokojny, zdejmował stułę i składał ją starannie – aby udzielać komukolwiek wybaczenia? Trwająca od dwóch miesięcy wojna zdążyła już zbrukać wszystko: ulice Barcelony, powietrze, którym oddychali, słowa ludzi, spojrzenia dzieci, słoneczne promienie na fasadach budynków, blask księżycy i gwiazd w letnie noce... Wszystko przenikał ten sam odór rozkładu, jakby świat przemienił się w napuchniętego trupa, a mężczyźni i kobiety byli tylko kłębiącymi się wewnątrz pasożytami. Powiew tchnący przez ludzkie skupiska, kiedy żyją w pokoju, odświeżający zamieszkiwane przez nie

miasta i pozwalający im się rozwijać, w Barcelonie zniknęła i teraz wydawała się ona zeszywniała, jakby zablokowana, podobna do gigantycznego parkietu wibrującego od wycia syren i dygoczącego od wybuchów. Od jakiegoś czasu zdawało się, że do wszystkiego przylgnęła warstwa brudu. Dusza brata Dardera nie była żadnym wyjątkiem.

Przeciągnął się, westchnął i po raz kolejny omiół wzrokiem nędzę pokoju, w którym się rozlokował: poobijane płytki, odpadające płaty wapna na ścianach, wszechobecne plamy wilgoci jak wypryski na chorej skórze. Po kilku sekundach owa nędza spływała z oczu do ust i dawała się przeżuwać, jakby była słodkim ziemniakiem. A – gotowane bataty, z rzadka doprawiane odrobiną tego samego cukru, który brat Plana od czasu do czasu podbierał ze spiżarni – jedli prawie codziennie. Bataty na obiad i na kolację. Jeszcze musieli dziękować właścicielce, że przyjęła ich w sekrecie do swojego przybytku. Do pensjonatu Capell przy ulicy Ferran. Od kiedy anarchiści wyrzucili ich z kolegium, które zajmowali (i które zostało skonfiskowane, tak jak pozostałe kolegia zgromadzenia oraz wydawnictwo Luis Vives), bracia maryści musieli korzystać z potajemnie okazywanego miłosierdzia osób jeszcze dość odważnych, aby przygarnąć ich do swoich domów. Ale dotyczyło to wyłącznie takich jak on, czyli tych, którzy mieli szczęście i nie zostali zatrzymani ani straceni. Już od pierwszego dnia wojny w rzeziach na tle religijnym ginęli zarówno duchowni, jak i wierni świeccy, i 20 września 1936 roku, czyli dzisiaj, nic nie wskazywało na to, żeby czystki miały się prędko skończyć. Cokolwiek by mówili bracia Gendrau i Lacunza, którzy nawet w samym środku katastrofy starali się nie tracić ducha, na ile to było możliwe, plan anarchistów jawił się bratu Darderowi zupełnie jasno: chcieli zlikwidować ich wszystkich. Oni zaś mogli się jedynie ukrywać, niczym

przerażone zwierzątka, i próbować swoich wpływów w tych kilku miejscach, które pozostały jeszcze w ich zasięgu, aby wydostać się z miasta cuchnącego stężoną śmiercią. W ciągu ostatnich tygodni umysł brata Dardera drążyło wciąż jedno pytanie, każdego dnia czuł, jak coraz głębiej wbija mu się ono w głowę i zbliża do serca: gdzie jest Bóg? Gdzie się ukrywa, kiedy dzieją się takie rzeczy? Dlaczego nie odpowiada? Próbował, kosztem nocy spędzonych na modlitwie i płaczu, wyrzucić je z myśli, ale ani łzy, ani modły nigdy nie przyniosły odpowiedzi, więc jedynie cisza, niczym zimny wiatr, rozbiła się wewnątrz czaszki brata Dardera dręczonego wciąż przez jedno i to samo pytanie. Gdzie jest Bóg? Dlaczego ich opuścił, ich również, tak jak opuścił swego Syna przybitego do krzyża? Gdzie jest miłość, gdzie zmiłowanie? Tak, jego dusza przesiąkła trucizną, tak samo jak cała Barcelona, i zmieniła się w kawałek gotowanego ziemniaka w zaślinionej gębie brata Plany.

– Dzień dobry, bracie. Widzieliście brata Gendrau?

Z powodu swoich mrocznych rozważań brat Darder czuł się zawsze trochę zawstydzony w obecności niestrudzonego brata Lacunzy. Brat Lacunza był człowiekiem powściągliwym i prostym, pochodził z Nawarry i pełnił funkcję dyrektora kolegium maryistów w Burgos. Na swoje nieszczęście zgodził się, kiedy wyższy przełożony prowincji zgromadzenia w Katalonii zaproponował mu poprowadzenie letniego kursu dla nowicjatu w Casa de les Avellanes w Balaguerze, i w ten sposób w dniu, w którym wybuchła wojna, brat Lacunza znalazł się w najgorszym możliwym miejscu w całej Hiszpanii. Musiał się potem ukrywać, jak cała reszta, i nie mógł już wrócić ani do Burgos, ani do Nawarry, gdzie bez wątpienia miałyby zupenie inne zakwaterowanie.

Nigdy jednak nie narzekał ani nie okazywał niezadowolenia z powodu swojego nieszczęścia. Wręcz przeciwnie, razem

z bratem Pere Gendrau natychmiast oddał się do dyspozycji prowincjała i był gotów poruszyć niebo i ziemię w poszukiwaniu wyjścia z sytuacji. Musiał istnieć jakiś sposób na opuszczenie tego niedorzecznego miasta, a oni muszą go znaleźć. Prowincjał poprzez jeden z niewielu kontaktów, które zostały mu w Urzędzie Miasta Barcelony, zdobył kilka glejstów podpisanych przez przewodniczącego Komitetu do spraw Zaopatrzenia, pozwalających na swobodne poruszanie się po mieście. Bracia Lacunza i Gendrau, oddelegowani przez prowincjała, korzystali z nich, starając się o uzyskanie zgody władz na opuszczenie Barcelony przez członków zgromadzenia. Niemniej wszystkie ich działania, przynajmniej na razie, nie przyniosły skutku. Kiedy uzyskanie paszportów albo chociaż pozwoleń na przekroczenie granicy okazało się niemożliwe, pojawiła się okazja w postaci włoskiego statku, który z końcem lipca przybił do portu w Barcelonie, aby zabrać pierwszą grupę uchodźców. Brat Lacunza, zaopatrzonego w rekomendację pewnego znajomego Włocha – nazywali go Mageroni – wystarał się w Konsulacie Morskim o zgodę na zaokrętowanie marystów na tym statku, pod warunkiem że przedstawią odpowiednie zezwolenie, w tym wypadku wydane przez radcę Departamentu Administracji Generalitat, pana Josepa Marię Españę. Ów szlachetny mąż odmówił jednak podpisania autoryzacji, obawiając się, że anarchiści, którzy kontrolowali zarówno port, jak i granice, zabiją go, jeśli to uczyni. Po tej pierwszej porażce przyszedł szereg kolejnych: w konsulatach Francji i Niemiec oraz w negocjacjach z radcą Departamentu Kultury Generalitat, panem Venturą Gassołem. Wszędzie słuchano ich z powagą i zrozumieniem i wszędzie zbywano ich delikatnie, posługując się dość powtarzalnym repertuarem wymówek. W tym czasie doszły ich wiadomości, że patrole milicji robotniczej w Kata-

lonii zamordowały już ponad pięćdziesięciu braci marystów złapanych na próbie ucieczki albo ukrywających się w pensjonatach i prywatnych domach. Oni sami któregokolwiek dnia także mogli zostać odkryci albo wydani, albo Bóg wie co jeszcze, a potem rozdeptani jak kopiec mrówek. Mimo to brat Lacunza i brat Gendrau (ten drugi zaczął przypominać bratu Darderowi utraconego ojca) zachowali ten rodzaj niegasnącego optymizmu, który pozwalał im wciąż szukać drogi ucieczki z tym większym zapałem, im więcej drzwi zamykało się przed nimi. O tak, brat Darder podziwiał tego ducha, a sam czuł się nieco zawstydzony słabością królującą w jego własnej duszy. Dostrzegał również, i nie sprawiało mu to radości, bolesną stronę owej nieugiętej determinacji braci Lacunzy i Gendrau. Koniec końców, jeśli Bóg postanowił udawać głuchego, oni nie zmuszą go do pochylenia głowy i nastawienia uszu.

– Nie, przykro mi. Nie widziałem brata Gendrau od samego rana.

– Zaglądałem do jego pokoju, ale go tam nie ma... – Brat Lacunza trzymał w prawej dłoni kopertę i drżał ze zdenerwowania. – No cóż, spróbuję go znaleźć. Jeśli go zobaczycie, powiedzcie mu, proszę, że chciałbym z nim pilnie pomówić.

– Więcej złych wieści? – domyślił się brat Darder z miną wyrażającą ubolewanie.

– Jeszcze nie wiem, jeszcze nie wiem... – wymamrotał niespokojnie brat Lacunza. – Dostałem list i muszę omówić go z bratem Gendrau. List z FAI...*

– Z FAI? – Brat Darder przeraził się, myśląc że może chodzić o donos do anarchistów wysłany przez kogoś z są-

* FAI – Iberyjska Federacja Anarchistyczna; w czasie hiszpańskiej wojny domowej organizacja ta aktywnie wspierała działania ruchu robotniczego, m.in. prowadząc walkę zbrojną (przyp. tłum.).

siadów pensjonatu Capell albo nawet przez samą senyore Gertrudis, właścicielkę, która musiała już być zmęczona ich obecnością.

– Na to wygląda – westchnął brat Lacunza. – Podpisali go dwaj kierownicy Komitetu Bezpieczeństwa. – Wyjął papier z koperty i zaczął czytać: Aureli Fernández i Antoni... Ordaz. We własnej osobie.

– Ale czego chcą? I jak się z wami skontaktowali? – dopytywał się z coraz większym niepokojem brat Darder.

Brat Lacunza potrząsnął głową na znak, że nie wie, i otworzył szeroko oczy, rozkładając przy tym ręce.

– Jacyś młodzi ludzie wetknęli mi go do ręki na samym środku Passeig de Gràcia. Trzej młodzi chłopcy, jeden z nich był marystą. – Nie zwróciwszy uwagi na zimny pot perlący się na czole brata Dardera, dodał: – To zaproszenie. Piszą, że chcą się spotkać z przedstawicielami zgromadzenia marystów dwudziestego piątego dnia bieżącego miesiąca. Tu, niedaleko, w jednym z lokali przy placu Universitat.

– Ale...

Drzwi otwarły się i brat Plana wsadził do pokoju swoją szczyrzą głowę.

– Bracie... – zająknął się.

– Czego znowu chcecie? – Zakonnik się zniecierpliwiał. – Dziś już was spowiadałem, nie pamiętacie? Poza tym rozmawiam teraz z bratem Lacunzą.

– Tak, tak, widzę... – powiedział, wciąż się jękając. – Wybaczcie, proszę. Chodzi o brata Gendrau...

– *Confiteor Deo omnipotenti vobis fratres, quia peccavi nimis cogitatione, verbo, opere et omissione, mea culpa, mea culpa, mea maxima culpa. Ideo precor beatam Mariam semper Virginem,*

omnes Angelos et Sanctos, et vos, fratres, ores pro me ad Dominum Deum nostrum...

Pełen uniesienia głos biskupa Gabriela Perugorrii rozchodził się miękko po kaplicy Świętej Agaty klasztoru kapucynek w Sarrià, tłumiony przez monotony stukot deszczu o wielkie witraże.

– Amen – odpowiedziało dwadzieścia siedem głosów, jednomyślnych i radosnych.

Odprawiano specjalną liturgię z okazji setnych urodzin siostry Presentació, która mimo osiągnięcia tak zaawansowanego wieku nie była wcale najstarsza w zgromadzeniu. Siostra Ascensió ze swoimi stu czterema latami i żelaznym zdrowiem miała bezsporną przewagę nad świeżo upieczoną stulatką, skręconą niczym winorośl i uczeponą kostura. Siostra Presentació chodziła tak zgięta, że czasami trudno było rozróżnić, czy stoi, czy siedzi. Natomiast siostra Ascensió trzymała się pewnie i prosto jak świeca, a jedyną dającą się dostrzec oznaką jej starości były czarne plamki, niektóre wielkości dwurealowych monet, rozsiane po całym ciele i zaczerniające twarz zakonnicy, jakby dawno temu odlaną z miedzi, której nikomu nie chce się czyścić. Jeśli siostra Presentació z każdym dniem coraz mocniej oplatała się wokół samej siebie niczym skręcone kolumny wirydarza, to siostra Ascensió w większym stopniu przypominała sekretarzyk z wiśniowego drewna. Jakkolwiek by było, dobre zdrowie i inteligencję jednej i drugiej postrzegano wewnątrz społeczności klasztornej jako pomyślny znak dla wszystkich sióstr. Nawet sama matka przełożona czasem wspominała o tym w formie pobożnego żartu. „Między anielskim Zwiastowaniem a Wniebowzięciem Matki Bożej jest cała wieczność zdrowia”* – mawiała. I wszystkie się śmiały.

* Presentació – tu: Zwiastowanie; Ascensió – Wniebowzięcie (przyp. tłum).

Jakoś przecież trzeba było poprawiać sobie humor w tym specyficznym klasztorze widmie. Wszystkie dwadzieścia siedem zakonnice wiedziało, że jeśli nowy porządek rewolucyjny przyzwolił, aby siostry kapucynki z Sarrià pozostały za czcigodnymi murami swojego klasztoru, zamiast wyrzucić je i skonfiskować budynek, to stało się tak wyłącznie dzięki temu, że matka przełożona była siostrą jednego z szefów FAI, człowieka groźnego i kalekiego, który zwał się Manuel Escorza. To właśnie on w pierwszych dniach wojny zajął się organizacją rewizji w gmachu zgromadzenia połączonej z fałszywymi zatrzymaniami: matce przełożonej we własnej osobie, pewnej nowicjusze o zakonnym imieniu Concepció i jeszcze sześciu czy siedmiu młodym mniszkom, wprowadzonym wcześniej w szczegóły planu, nakazano wejść do furgonetki, podczas gdy pozostałe zakonnice, niewtajemniczone w podstęp, płakały strwożone, wznosząc modły w kaplicy Świętej Agaty. W pewnym momencie doszło nawet do przerażających scen, kiedy oddział milicji wyznaczony do napaści na dom kapucynek, porwany entuzjazmem i nadmiernym zapalem, postanowił sprofanować grobowce pięciu wcześniejszych matek przełożonych pochowanych w obrębie klasztoru. Milicjanci wydobyli z mumifikowane ciała i umieścili je przed głównym wejściem do budynku, gdzie wisały przez kilka godzin. Efektem incydentu były liczne omdlenia wśród zakonnice oraz świeckich dam, które miały to szczęście, że tamtego dnia przechodziły obok klasztoru i natknęły się na mumie. Jednocześnie zdarzenie wywarło odpowiednie wrażenie i niewątpliwie przekonało całą okolicę, że kapucynki z Sarrià zostały zatrzymane i rozpedzone, a ich dom zakonny skonfiskowany w imię rewolucji, tak jak pozostałe należące do Kościoła budynki w mieście. Jeśli zaś chodzi o członków oddziału, którzy zaczęli podejrzewać, że są pionkami

w jakiejś haniebniej grze dopiero wtedy, kiedy otrzymali rozkaz odstawienia zatrzymanych mniszek z powrotem do klasztoru oraz zdjęcia mumii z fasady budynku, to Manuel Escorza bez większego trudu obwinił ich o działania uznawane za zdradę stanu i kazał wszystkich rozstrzelać, aby mieć pewność, że nie dopuszczą się żadnej niedyskrecji.

Łatwo sobie wyobrazić radość, z jaką mniszki z Sarrià przyjęły powrót swojej matki przełożonej i najmłodszych sióstr, oraz – w konsekwencji – gotowość, z jaką przystały na przyjęcie dwóch warunków postawionych przez Manuela Escorzę w zamian za to, że nie zostaną wygnane z klasztoru ani narażone na upokarzające traktowanie. Jako że sprawa dotyczyła mniszek klauzurowych, pierwszy z warunków był łatwy do wypełnienia: siostry miały absolutny zakaz jakichkolwiek kontaktów ze światem zewnętrznym. Oficjalnie klasztor kapucynek w Sarrià został ewakuowany, a na jego terenie, otoczonym pięciometrowej wysokości murem chroniącym przed wścibskimi spojrzzeniami, nikt nie mieszkał. Budynek skonfiskowano w imię władzy ludowej (formuła, jaką posługiwano się zwykle w takich przypadkach) i oczekiwał on na wykorzystanie w taki czy inny sposób. Ponadto Escorza polecił zaufanemu człowiekowi zająć się dostarczaniem do klasztoru jedzenia, drewna na opał, odzieży oraz wszystkiego, czego wspólnota mogłaby potrzebować do utrzymania, a co bez większych trudności mógł dostać w magazynach z zarekwirowanymi dobrami.

Drugi warunek pojawił się po kilku tygodniach i również został zaakceptowany bez zbędnych pytań. Kapucynki miały przyjąć do swojej siedziby ni mniej, ni więcej, tylko samego biskupa Barcelony, Jego Ekscelescję Gabriela Perugorrię. Dopiero po długim i obfitującym w różne wydarzenia okresie prześladowań, który zaczął się w dniu, kiedy dostojnik

o świcie, podczas ataku rewolucjonistów na pałac biskupi, musiał salwować się ucieczką tylnymi drzwiami, Escorzy udało się złowić tę grubą rybę. Otrzymał też ścisłe rozkazy, by chronić ją w odpowiednim akwarium, dopóki nie nadejdzie pora, by wyciągnąć z tego korzyści. Patrol milicji robotniczej zatrzymał biskupa, nie wiedząc, kim jest naprawdę, podczas rewizji w domu pewnego złotnika podejrzanego o ukrywanie duchownych i mniszek. Kiedy w końcu w areszcie przy Sant Elies ktoś rozpoznał don Gabriela Perugorríę w biedaku, któremu nakazano się rozebrać, zanim został poddany przesłuchaniom i upokorzeniom, natychmiast zawiadomiono o wszystkim Manuela Escorzę. Aby zapewnić sobie bezpieczeństwo i konieczne milczenie, musiał on zabić całkiem sporo ludzi i napisać fałszywy raport informujący o egzekucji biskupa, ale gdy uznał, że już nie grozi im niebezpieczeństwo infiltracji, osobiście odprowadził Jego Ekscelencję do domu kapucynek i zamknął w doskonałej kryjówce, którą stworzył za milczącym przyzwoleniem swojej siostry. Mniszki przyjęły obecność don Gabriela Perugorríę, którego w mieście już od jakiegoś czasu uważano za martwego, za budzący nadzieję dowód działania Opatrzności Bożej. W tej chwili, podczas liturgii odprawianej z okazji setnych urodzin siostry Presentació, biskup perorował właśnie na ten temat:

– Opatrzność Boża, siostry – jego głos wznosił się ku coraz wyższym rejestrom – to obecność Pana Naszego we wszelkim stworzeniu. Owa obecność wyraża się nieustannie w wiecznej woli tworzenia i zachowania swego stworzenia, woli całkowicie nadrzędnej, dzięki której Bóg objawia się zgodnie z samą naturą dobra, będącego Jego właściwością. A czyni to dla dobra istnienia, a przeciw nicości, dla światła, a przeciw ciemnościom, dla życia, a przeciw śmierci.

Kiedy biskup kończył jakieś zdanie, które wydawało mu się szczególnie udane, wtedy podnosił lekko ręce, a wszystkie mniszki odpowiadały „amen”. Jednocześnie chór sześciu młodych zakonnic stojących po lewej stronie ołtarza czystym głosem intonował krótką inwokację:

Pie Jesu Domine.

Nowicjuszką kierującą tym nielicznym, ale dobrze zgranym chórem była siostra Concepció, która zyskała sympatię matki przełożonej, towarzysząc jej podczas fałszywego zatrzymania. Inwokacja stanowiła zaś początkową frazę *Pie Jesu* z *Rèquiem* Gabriela Faurégo, które w tym szczególnym dniu tworzyło akompaniament dla słów kaznodziei. Po zakończeniu partii chóru ukontentowany z występu i zadowolony z siebie biskup Perugorria kontynuował:

– Jeśliby ludzie pozbawili mnie dóbr moich i czci, gdyby choroba odjęła mi siły, a ja sam straciłbym łaskę w grzechu, nie porzucę przecież nadziei, ale zachowam ją aż po kres mego żywota. I próżny będzie wysiłek wszystkich demonów piekielnych, by mi ją odebrać, z Twoją pomocą otrząsnę się bowiem z winy. Cała moja nadzieja opiera się na pewności, z jaką czekam pomocy Twojej, Panie, Ty sam bowiem utwierdziłeś mnie w nadziei.

Na co mniszki prędko:

– Amen.

A chór srebrnym głosem:

– *Pie Jesu Domine.*

I biskup w uniesieniu:

– Wiem aż nadto dobrze, że ja sam jestem słaby i zmienny; wiem, co może uczynić pokusa z najwytrwalszą z cnót, lecz mnie to nie uczyni tchórzliwym. Póki będzie we mnie

prawdziwa nadzieja, nie dosięgnie mnie żadne nieszczęście i jestem pewien, że nigdy jej nie stracę, jest we mnie bowiem wiara, że obdarzysz mnie, Panie, wytrwałością w nadziei.

– Amen.

– *Pie Jesu Domine.*

– Jest we mnie pewność, że nie oczekuję zbyt wiele od Ciebie, Panie, i że nigdy nie dostanę mniej, niżbym się spodziewał. Dlatego przepelnia mnie nadzieja, że obdarzysz mnie siłą w czas tak bliskiego niebezpieczeństwa, że ochronisz mnie przed wściekłym wrogiem i sprawisz, że moja słabość zatryumfuje nad najokrutniejszym z nieprzyjaciół. Przepelnia mnie nadzieja, że nigdy nie odmówisz mi swej miłości, Panie, i że ja wiecznie miłować Cię będę, odrzuciwszy wszelką słabość. Aby zaś przybyć nareszcie tam, dokąd dąży moja nadzieja, w Tobie, o Stwórco mój, pokładam całą swoją nadzieję i czekam na Ciebie cały pisany mi na tym padole czas i całą wieczność. Amen.

– Amen – powtórzyły mniszki niemal z takim samym uniesieniem, jakie w widoczny sposób zawładnęło kaznodzieją.

W tym samym momencie siostra Concepció dała nareszcie znak chórzystkom, by rozwinęły utwór, który do tej pory ledwo zaznaczały, i by rozbrzmiał całym bogactwem tonów. I chór zaintonował:

*Pie Jesu Domine
Dona eis requiem
Dona eis requiem.*

Wrażenie było niezwykle. W części wokalnej partia sopranu, na który kompozycja została oryginalnie pomyślana, rozdzielała się na dwugłosowy kanon, gdzie głosy wchodzi-

ły w unison i się kontrapunktowały. Był to dość prosty, ale niewątpliwie efektowny zabieg. Instrumentacja orkiestrowa została natomiast, co logiczne, usunięta, chociaż trud, jaki pobożny Fauré włożył w harmonizację i kompozycję melodii, potraktowano z pełnym szacunkiem w nowym opracowaniu wokalnym.

Było to jedno z zajęć, jakim zwykła się oddawać siostra Concepció, która w życiu świeckim jako najmłodsza latorośl dostatnio żyjącego rodu Bachs Pinté (Papier, Karton & Artykuły Papiernicze, jak głosił szyld obszernego sklepu przy ulicy Tallers w Barcelonie, który był jedynie otwartym dla klientów przedsiönkiem firmy znanej jako jedno z największych przedsiębiorstw papierniczych w Hiszpanii) otrzymała staranne wykształcenie, obejmujące, rzecz jasna zgodnie z tym, co wypadało wiedzieć panience jej kondycji, szeroką edukację muzyczną. Liczne lekcje solfeżu, gry na fortepianie i śpiewu prowadzone w sekcji dziecięcej Orfeó Català – a niektórych udzielał sam mistrz Millet* we własnej osobie – dostarczyły energicznemu dziewczęciu wiedzy potrzebnej, by podjąć się pierwszych samodzielnych prób kompozycji polegających na reinterpretacji (ona sama wolała nazywać je nowymi odczytaniem) tych utworów i kompozytorów, których najwyżej sobie ceniła. Tak oto, poza Faurém (który był jednym z jej ulubionych; przy innej okazji włączyła do jego *Pavany* arpeggio gitarowe oraz szkic tekstu zaczynający się od słów „Jezu, strażnico mego serca”), z różnym powodzeniem opracowała przeróbki *Clair de lune* Saint-Saënsa, *Matinal* Toldrà i *Amor de mare* Garrety. Pytana o swoje niezwykłe hobby, siostra

* Lluís Millet i Pagès (1867–1941), znany jako Mestre Millet (mistrz Millet), muzyk i jeden z założycieli towarzystwa chórowego Orfeó Català (1891), które od początku swojego istnienia stanowiło jedną z najważniejszych instytucji kulturotwórczych w Katalonii (przyp. tłum.).

Concepció odpowiadała, czerwieniąc się, że jej próby nie mają żadnej wartości artystycznej, ale dla niej samej są ważne, ponieważ stanowią rodzaj modlitwy.

Jakkolwiek by było, jej odczytanie *Pie Jesu* wplecione w kazanie biskupa Perugorrii wywarło piorunujące wrażenie na zgromadzonych siostrach. Kiedy chór zakończył swój występ, w kaplicy Świętej Agaty zaległa pełna napięcia i szacunku cisza, kontrastująca z coraz głośniejszym szumem deszczu uderzającego w witraże. Teraz tworzył on gęstą zasłonę wody. Kapucynki z Sarrià przenikało niemal namacalne uczucie wdzięczności i podziwu, kiedy siostra Concepció stała z opuszczonymi rękami i pochyloną głową, jakby z jej młodego ciała wyciekły właśnie kropla po kropli wszelkie siły. Siostra Anunciació, jedna ze śpiewających w chórze, ocierała oczy pełne łez. Otyłe siostry Benedicció, Dormicció i Visitació, zwolnione z obowiązku klęknięcia podczas nabożeństwa, jako że za każdym razem trzeba im było pomagać się podnieść (co przy jednej z okazji spowodowało u matki przełożonej zwichnięcie nadgarstka) z trudem powstrzymywały piski wyrażające ich zachwyty. Natomiast biskup Perugorria, jaśniejący niczym płonąca zapałka, wymieniał z matką przełożoną dziwne spojrzenia, które równie dobrze mogły być oznaką osłupienia, jak i współnictwa.

Niemniej nikt nie śmiał się odezwać. Cisza w kaplicy przeciągała się od kilku minut, aż wreszcie siostra Presentació, wsparta na lasce, wymruczała bezzębnymi ustami:

– Dziękuję, córko.

Siostra Concepció obudziła się z odrętwienia i skierowała ku wiekowej solenizantce spojrzenie i uśmiech pełne prostoty. Zdawało się, że zamierza podziękować za uprzejmość staruszki, ale w tym samym momencie uderzenie, które zadźwięczało niczym grom, zmusiło wszystkich do skiero-

wania wzroku w głąb kaplicy. W jednym ułamku sekundy siostróm przebiegł po plecach identyczny dreszcz, lecz zaraz powrócił spokój. To tylko wiatr, który otworzył na oścież obydwa skrzydła drzwi i tłukł nimi z hukiem o masywne mury. Nagle zimny podmuch powietrza wdarł się do wnętrza kaplicy, a równocześnie przez otwarte wejście wlewał się deszcz przemieszany z gradem podobnym do małych szklanych kulek.

– To nic takiego – uspokajała siostry matka przełożona. – Ostatnio byle drobiazg nas przeraża, nie mam racji? Pogratulujmy naszej ukochanej siostrze Presentacjó setnych urodzin, prawdziwego przywileju, którym nasz Pan obdarzył ją samą, jak również całą naszą wspólnotę, z pokorą i bojaźnią bożą podziękujmy także Jego Ekscelencji za jego natchnione i wspaniałe kazanie.

– Amen – odpowiedziały wszystkie głosy.

Matka przełożona niespiesznie, z błyskiem w oczach, dodała jeszcze:

– Podziękujmy również naszym siostróm chórzystkom, a zwłaszcza młodej siostrzyczce Concepcjó, za piękno wykonywanej pieśni.

– Amen – powtórzyły głosy.

Siostra Concepcjó złożyła dłonie na wysokości piersi i pochyliła głowę, przytłoczona wyróżnieniem, jakie ją spotkało. Przez rozwarte na oścież drzwi do kaplicy wpadł, zupełnie nie w porę, daleki i przenikliwy krzyk mewy.

– Niech Bóg się nad nami zlituje – wymruczał skonsternowany brat Plana, składając ręce jak do modlitwy.

– Bóg? Zapewniam was, że Bóg nie ma tu nic do rzeczy. A jeśli chcecie znać prawdę, to powiem wam, że mnie nie jest źle. Tylko tego nam brakowało...

Tym, który to mówił, był komisarz Gregori Muñoz. Jego sposób wystawiania się odpowiadał dość dokładnie jego wyglądowi, ponieważ przypominał obwoźnego sprzedawcę towarów żelaznych albo Cygana, albo obydwu naraz.

– Do kurwy nędzy złotej... – wtrącił się tylko po to, żeby coś powiedzieć, funkcjonariusz Mossos d'Esquadra przybyły razem z komisarzem Muñozem. Rudy chłopak z pokancerowaną twarzą, do którego jego przełożony zwracał się per Sirga. Albo durniu, jeśli mu akurat pasowało.

– Nie odzywaj się, durniu, jeśli cię nie pytają – uciął komisarz Muñoz.

– Tak, panie komisarzu – przytaknął Sirga.

Czwarty mężczyzna, surowy i patykowaty sędzia Miquel Carbonissa, skrzyżował ręce na plecach i mlaskała, uderzając językiem o podniebienie.

Wszyscy stali skupieni wokół siedzącego w kucki doktora Humberta Pellicera, który kiwał głową i odchrząkiwał, badając zwłoki zamordowanego chłopca. Ciało spoczywało na noszach, które pielęgniarze z Czerwonego Krzyża wnieśli do ambulansu zaraz po zakończeniu przez lekarza obdukcji poprzedzającej sekcję zwłok. W samochodzie znajdowała się już matka, chuda kobieta o wyglądzie gruźliczki, wyraźnie wstrząśnięta po przejściu ataku nerwowego. Ojciec – mechanik samochodowy, niski i krzepki, wciąż ubrany w fartuch roboczy – krążył po wąskiej uliczce przylegającej do wejścia do pensjonatu Capell z miną wyrażającą całkowite i bezmyślne ogłupienie, jakby mu ktoś przyłożył młotkiem. Od czasu do czasu mężczyzna znajdował na ziemi grudkę zaschniętej krwi, którą zakrywał, rozgrzebując nad nią czubkiem buta bryłkę ziemi.

Pielęgniarze poświęcali też trochę uwagi seniorze Gertrudis, jako że to ona znalazła obydwa trupy. Zwłoki brata

Gendrau rozciągnięte na pół kuchni, z otwartymi ustami i poderżniętym gardłem, oraz dziecka, o które potknęła się w połowie uliczki, kiedy wybiegła z pensjonatu Capell tak przerażona, że nawet nie zaczęła wzywać pomocy. Chłopiec leżał zwinięty, z zamkniętymi oczami: mogłoby się wydawać, że śni jakiś przyjemny sen, gdyby nie brzydka i kręta rana widoczna na szyi. Spod jego głowy rozlewała się kałuża krwi, która w kontakcie z ziemią i żwirem krzepła w grudki. Wokoło wszędzie było pełno krwawych plam, jakby krew, zamiast wyciekać z ciała dziecka, rozpryskiwała się. Oslupiała senyora Gertrudis właśnie miała wydać z siebie krzyk przerażenia, który zwróciłby uwagę przechodniów, kiedy upadła zemdlna obok martwego ciała. Teraz siedziała na trzcinowym fotelu blisko otwartych drzwi do pensjonatu, wpatrując się w płytki podłogowe poznaczone śladami krwi brata Gendrau. Podczas gdy sanitariusze, wykonując polecenie sędziego Carbonissy, podnosili ciało zakonnika, senyora Gertrudis przyglądała się swoim dłoniom i przeżuwała niezrozumiałe słowa niczym koza lucernę.

Doktor Pellicer odsunął się od ciała dziecka, wstał z trudem spowodowanym wiekiem i nadwagą i skinął na pielęgniarzy, którzy natychmiast zaczęli ładować nosze do ambulansu, gdzie rozhisteryzowana matka wybuchła nową serią krzyków. Kobieta rzucała bluźnierstwa, które wprawiłyby w zakłopotanie najobojętniejszego wśród agnostyków (bracia Plana, Darder i Lacunza udawali, że ich nie słyszą): deklarowała, że jest gotowa umrzeć zamiast syna, przysięgała, że zabije całą masę ludzi, połykała i znów męła w ustach sylaby, przerabiając je na długie i czekające na strawienie muczenie. W końcu trzeba było ją ubrać w kaftan bezpieczeństwa i związać go rzemieniami. Oszołomiony mąż nie chciał wsiąść do samochodu, wołał zostać w uliczce, gdzie znaleziono martwe

dziecko, jakby postanowił trzymać tam straż. Mężczyzna snuł się nieprzytomnie po ulicy, w górę i w dół, z rękami założonymi za fartuch, przytłoczony niedorzecznością sytuacji.

Doktor Pellicer zakrył sobie rękami twarz i zaczął lekko masować skórę nad brwiami, wzdychając z głębokim zawodem. Przez jedną bardzo krótką chwilę spoglądał sędziemu Carbonissie w oczy i obydwaj mężczyźni wymienili kiwnięcia głowami, które równie dobrze mogły oznaczać zgodę, jak rezygnację. Ambulans (model Forda, który wraz z trzema innymi jednostkami przybył kilka tygodni wcześniej ze Stanów Zjednoczonych Ameryki jako dar od Przyjaciół Hiszpańskiej Demokracji) ruszył w obłoku dymu, który pokrył podniebienia wszystkich obecnych posmakiem spalonej benzyny. Minęło południe, zaczynał kropić deszcz i nikt nie wiedział, co powiedzieć. W końcu Sirga, mnąc w obydwu dłoniach mundurową czapkę, otworzył usta i rzekł:

– No to mamy plagę księżobójców... – Jego słowom towarzyszył lekki uśmiech, odsłaniający przynajmniej dwa nadpsute zęby.

– Zamknij się, durniu – powtórzył komisarz Muñoz, nawet nie spojrzawszy na niego.

– Tak jest, panie komisarzu – odparł tamten, pochylając głowę.

Ponownie zapadła cisza, tym razem trochę bardziej niezręczna. Trzech zakonników wymieniło krótkie spojrzenia pełne niepokoju. Ojciec zabitego dziecka, nie zwracając na nic uwagi, usiadł w kącie obok chwastów zarastających chodnik, z łokciami opartymi o kolana i głową podpartą na rękach. Niespodziewanie gdzieś daleko odezwała się, fabryczna syrena. Brat Pau Darder pomyślał, że dźwięki syren fabrycznych brzmią uspokajająco w przeciwieństwie do kaleczącego ucho jęku alarmów lotniczych. Syreny przyzwoitości zapowiadające

uczciwe wynagrodzenie za dobrze wykonaną pracę. Przyszło mu do głowy, że ta odległa syrena przypominała lament albo prośbę o wybaczenie okropności rozciągających się przed jego oczami. Tyle że czyja by to mogła być prośba? W końcu, z trudem powstrzymując drżenie głosu, zadał pytanie, którego nie śmiał przedtem wypowiedzieć:

– Pan wybaczy, ale dlaczego wypowiedział pan tamtą uwagę na temat... na temat księży?

Zwrócił się do Sirgi, ale odpowiedział mu komisarz Muñoz.

– Dlatego, że zmarły był bez wątpienia osobą duchowną. Tak samo jak panowie. – Tu wskazał palcem na każdego z trzech marystów. – Choćbyście nie wiem jak się starali przebrać za chłopów, macie to wypisane na twarzach, braciszkuwie. Bo jesteście zakonnikami, nie myślę się, co?

Brat Darder zrobił się czerwony jak burak, a brat Plana przetykał ślinę z takim zapalem, że wszyscy mogli go usłyszeć bez trudu. Brat Lacunza wbił zaś wzrok w ziemię, jakby zgubił coś niesłychanie cennego. Mżawka, która zdążyła już ich zmoczyć, sprawiła, że zdawali się jeszcze bardziej bezradni. Komisarz Muñoz uśmiechnął się niewyraźnie i powiedział:

– Nie bójcie się, panowie, nie zatrzymam was. Tak naprawdę nie zamierzam nawet wspomnieć w raporcie o tym szczególe, że jesteście panowie... Jak właściwie powinno się o was mówić? Braciszkuwie na urlopie? – Wykonał pogardliwy ruch ręką. – Dobrze, tak czy siak, nie musicie się martwić.

Trzech zakonników w ciszy obserwowało policjanta, nie dowierzając jego słowom.

– Nie patrzcie tak na mnie! – wykrzyknął komisarz. – Mówię szczerze. Gdybym na was doniósł... Razem z tym wszystkim, co bym musiał zrobić potem, miałbym za dużo roboty.

Nie warto. A jeśli chodzi o Sirgę... – Odwrócił się do rudego funkcjonariusza i poklepał go po ramieniu. – On też niczego nie widział, prawda, chłopcze?

– Co tylko pan każe, panie komisarzu – odparł Sirga.

Sędzia Carbonissa obserwował scenę z zadowoleniem, a doktor Pellicer zaczął skręcać papierosa.

– Świetnie – podsumował komisarz Muñoz. – O wiele bardziej interesuje mnie to, co tutaj zaszło. Nie dość że mamy martwego księdza, to jeszcze martwe dziecko. Nie wiem, co panowie o tym myślicie – zwrócił się do lekarza i sędziego – ale mnie to nie wygląda na robotę anarchistów.

Doktor Pellicer zapalił papierosa, zaciągnął się głęboko i wydmuchnął kłąb dymu, gruby i spleciony niczym lina. Po tem się odezwał:

– Też jestem tego zdania, komisarzu. Już sposób, w jaki zadano im śmierć, nie ma nic wspólnego z egzekucjami duchownych, które odbyły się w ostatnich tygodniach. Widać wyraźnie, że nie użyto broni palnej, ponieważ obydwu ofiarom poderżnięto gardła. Duchownemu za pomocą noża kuchennego. A jeśli chodzi o dziecko, rana na szyi zasadniczo wskazuje na ugryzienie zwierzęcia, które oderwało również kawałek mięsa. Jak się wydaje, nie mamy tu do czynienia z plutonem egzekucyjnym, ale z pojedynczym człowiekiem, któremu prawdopodobnie towarzyszył duży pies.

– Boże świąty! – wyszeptał zmartwiony sędzia Carbonissa.

– Zbadaliśmy ziemię w poszukiwaniu śladów – obwieścił komisarz Muñoz. – Zidentyfikowaliśmy jedno jako należące do chłopca oraz inne, pozostawione przez dwójkę dorosłych: właścicielkę pensjonatu i przestępcę. Nie ma natomiast żadnych śladów psa ani innego zwierzęcia.

– Jest pan tego pewien? – zapytał doktor Pellicer, wydychając dym wszystkimi otworami w twarzy.

Barcelona, 1936 rok, początek wojny domowej. Czas, gdy masowo giną księża i ludzie przyznający się do bliskości z religią, gdy płoną kościoły, a klasztory rabują antyklerykalne bojówki. W tym chaosie dobrze zorientowany w teologii mężczyzna twierdzi, że jest wampirem. Barwnie opisuje, jak zabił księdza i chłopczyka. Jak wypił ich krew. Śledztwo prowadzi komisarz Gregori Muñoz, człowiek pozbawiony nadziei i złudzeń.

Podczas gdy siostry kapucynki stają się zakładniczkami w klasztorze, a wraz z nimi rzekomo zamordowany biskup Barcelony, osoba o wątpliwej moralności, sędzia i lekarz sądowy tworzą w katakumbach potwora. Bawią się w Boga.

Czas zamętu, czas śmierci. Pomimo ludzkiej nikczemności, młodzieńca nowicjusza daje komisarzowi siłę, by sądzić, że zło da się zwalczyć. Ale czy naprawdę można pokonać bestię czającą się w człowieku?

Intrygujące tło historyczne, wielowarstwowa proza.
Alzamora – w konwencji kryminału – stawia poważne pytania.

www.marginesy.com.pl



9 788364 700248

cena 34,90 zł

PATRONAT
MEDIALNY

BOOKLIPS.PL IIIII

FILMBOX

PORTAL
KRYMINALNY

ROOM